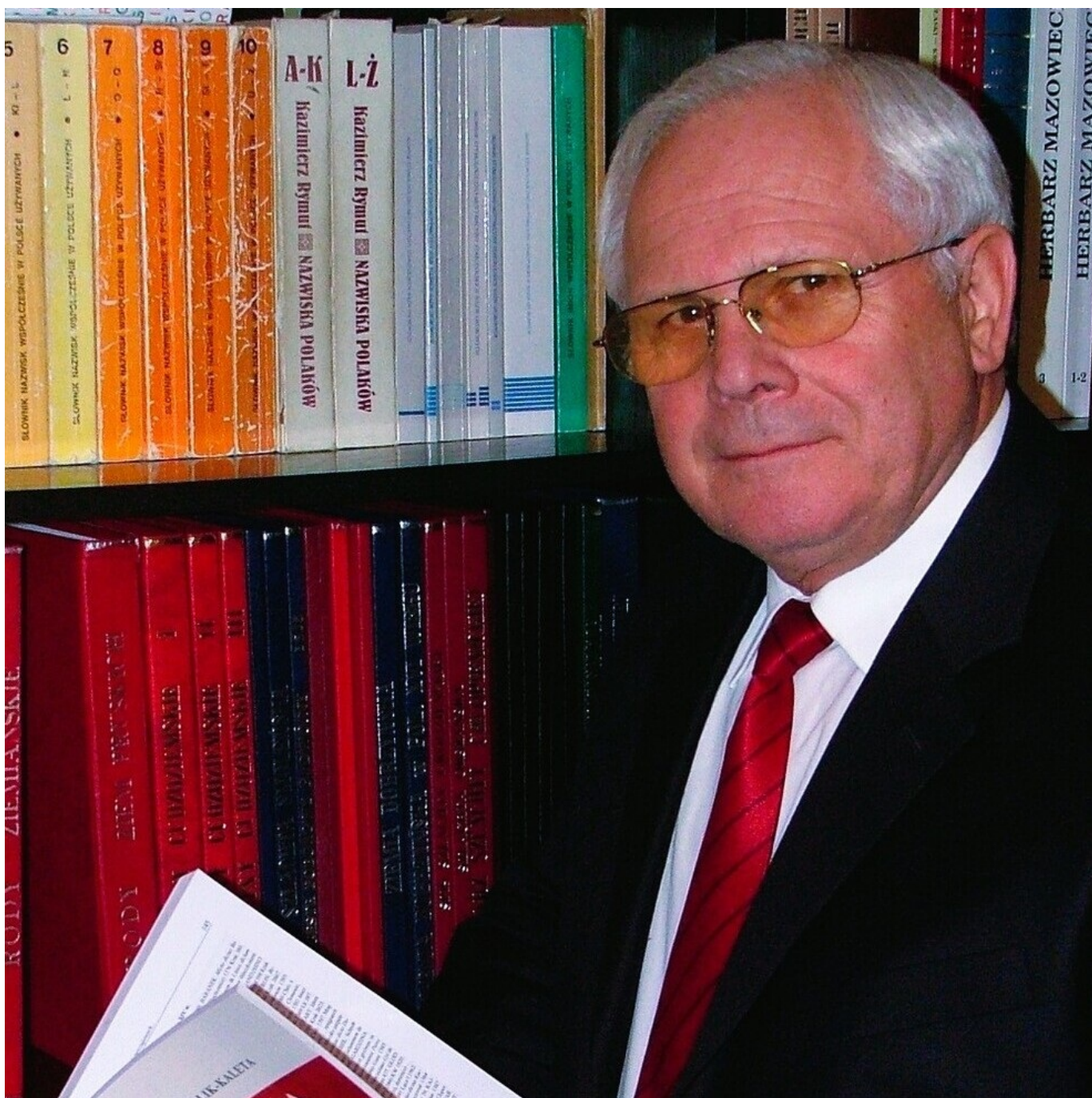




Autor: Arch. prywatne

Zawodowiec i pasjonat. Mistrz kowalstwa, zawodowy żołnierz, nauczyciel, leśnik, dziennikarz, publicysta, literat, badacz dziejów regionu, genealog, pasjonat heraldyki, fotograf, krajoznawca, turysta i przewodnik, sportowiec (maratończyk i triathlonista).

Wywodzi się z rodu pieczętującego się herbem Rola. Odznaczony m.in. medalem pamiątkowym „Pro Masovia” (2015) oraz tytułami „Zasłużony dla wsi Nieznamierowice”, „Zasłużony dla gminy Grójec”, Zasłużony dla powiatu grójeckiego” i „Honorowy obywatel gminy Odrzywół”. W listopadzie 2021 r. otrzymał od Ministra dziedzictwa Narodowego, Kultury i Sportu, odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Z Andrzejem Zygmuntem Rolą-Stężyckim o jego pracach i pasjach rozmawia Tomasz Opaliński.

Tomasz Opaliński: Tego wszystkiego, co pan robił w życiu, wystarczy na pięć życiorysów... Jak Pan sam siebie by określił? Co jest Panu najbliższe?

Andrzej Zygmunt Rola-Stężycki: Wszystko koncentruje się w regionalizmie – to jest ta forma, która wydaje się być nadrzędną nad wszystkim. Regionalizm się ostatnio bardzo odradza i bardzo dobrze, bo przecież każdy z nas ma swoją historię, podobnie jak każda miejscowość i każdy teren.

Czy w dobie globalizacji i soku z jabłek z Grójca, ale produkowanego w Chinach z zagęszczonego koncentratu, nie dziwi zainteresowanie regionalizmem?

Ludzie dziś podróżują w różne regiony świata, ale też dzięki temu przypominają sobie, że oni też są skądś. Zaczynają pytać: dlaczego mamy podziwiać inne kraje, zapominając swoich korzeni? To się przekłada na poszukiwania genealogiczne, które są największym światowym hobby. Jako specjalista mogę powiedzieć, że genealogia to kierunek wymagający naprawdę sporego wykształcenia i wszechstronnej wiedzy w różnych dziedzinach.

Czy to nie jest jakaś „odtrutka” na ujednolicanie, pęd do robienia tego, co wszyscy? Odkrywać to, co jest tylko „moje”, żeby nie być tylko elementem „szarej masy”?

To jest podejście trochę snobistyczne, choć można też mówić o pozytywnym snobizmie. Moje badania są moim hobby, ale wiem też, że mam pewną misję. Jeżeli w czymś tkwię, mogę coś zrobić i przekazać innym, to jest to społecznie pożyteczne. Jest to też przy okazji znakomita gimnastyka intelektu. Wiele spraw, które nas otaczają, typu historyczne zawiązki miejscowości czy osiedla, są naprawdę pasjonujące. Pracuję od około 10 lat głównie nad dwoma obszarami: Grójcem i powiatem przysuskim, i mam wrażenie, że nigdy tego nie skończę. Jest to tak wszechstronny temat, że czyta się to jak fantastyczną opowieść.

Regionalistyka pozwala spotykać się z ludźmi, poznawać nowe twarze. Stąd pochodzą ludzie, którzy mają różne koneksje, tworzyli coś, budowali – i nawet nie wiedzą, że ich rodziny miały w tym udział.

Poza tym jest to jest też promocja regionu: poznawanie go, organizowanie wycieczek, znajdowanie czegoś, co mamy w zasięgu ręki. Jeśli ktoś lubi zatłoczone plaże, to niech jedzie tam, gdzie jadą wszyscy, ale na przykład nad Pilicą mamy kilometry pustych plaż z możliwością uprawiania kajakarstwa, a rzadko kto tu przyjeżdża. Wiele gmin produkuje jakieś foldery, które są powielane według jednego schematu i na tym już ich promocja się kończy; a można przecież pisać książki o regionie – i to jest dopiero promocja.

Czy każdy może zajmować się genealogią, historią własnych korzeni?

Kiedy pytam kogoś, czy jest chirurgiem, to 90 proc. ludzi mówi, że nie; ale kiedy pytam, czy pan sam będzie podejmował badania genealogiczne, to często słyszę odpowiedź: „oczywiście”. A według mnie te dziedziny pod względem konieczności profesjonalnego podejścia są równorzędne. Tu nie chodzi jedynie o datę urodzenia dziadka; genealogia jest piękna wtedy, kiedy dochodzimy do tego, kim ten dziadek był, czego dokonał, co pozostawił. Przecież rodziny trwają od wieków: w przypadku rodów szlacheckich mamy informacje od początku państwowości polskiej.

Informacji szukamy w dokumentach, które są niedostępne i najczęściej niemożliwe do odczytania przez ludzi, którzy się na tym nie znają. Korzystam z archiwów państwowych, ale czasami trzeba dotrzeć do dokumentów, których w nich nie ma, albo są przechowywane w archiwach państwowych lub kościelnych (bowiem od kodeksu Napoleona z 1808 r. każdy proboszcz stał się urzędnikiem stanu cywilnego). Nie chcę nikogo obrażać, ale zauważam, że większość młodych duchownych nie zna języka rosyjskiego, a ledwie łapie łacinę. Również w urzędach stanu cywilnego jest problem: większość młodych pracowników nie potrafi odczytać takiego aktu, a są jeszcze akta i francuskie i niemieckie. Druga sprawa to ochrona danych osobowych, której wielu ludzi używa jako argumentu.

Łatwiej było być regionalistą kiedyś, kiedy kultura, również wydawanie książek, było reglamentowane, czy teraz?

Badania zawsze były trudne. Regionalista jest poszukiwaczem, którzy po raz pierwszy odkrywa to, co kiedyś się wydarzyło, by pokazać to ludziom. Niegdyś było więcej życzliwości, ludzie byli bardziej otwarci, nie bali się, że ktoś chce pozyskać ich dane osobowe, nie pytali, co z

tego mam. Nie miałem problemu z fotografowaniem, nagrywaniem, kamerami – dziś bym się obawiał iść przez Polskę samotnie z dwoma torbami aparatów.

A czy zdarzyło się Panu odkryć coś, co wymusiło zmiany podręczników?

Badalem wioski koło Przysuchy i trafiłem na sprawę Hubala, w którego biogramie były trzy luki. Podawano, że jego matka urodziła się we wsi Bąkowo (lub Bąków – różnie pisano) pod Sandomierzem, tylko że... pod Sandomierzem nie ma takiej miejscowości. Kiedy już przekopałem wszystko, co się dało, to okazało się, że ten Bąków jest nie pod Sandomierzem, ale pod Przysuchą, w parafii Nieznamierowice (gm. Rusinów): w aktach metrykalnych parafii znalazłem nawet jej akt urodzenia. Dlaczego ów Bąków lokowano pod Sandomierzem? Ponieważ te okolice były w XIX wieku w administracji diecezji sandomierskiej. Podobnie pobliskie miasteczko Łęgonice położone na lewym brzegu Pilicy nazywane było rawskimi, ale tuż przy nim, na prawym brzegu było miasteczko Łęgonice Małe, nazywane sandomierskimi z uwagi na przynależność do diecezji. Analogicznie ludzie mówili o Bąkowie sandomierskim, choć nie miało nic wspólnego z położeniem w pobliżu Sandomierza!

Jest Pan twórcą niektórych herbów miejscowości. Jak się je tworzy?

Jako genealog heraldyką zajmuję się z konieczności, i choć nie jestem specjalistą, to jest chyba ona moim szczególnym nałogiem. Oprócz heraldyki obejmującej herby szlacheckie, rozwinięta jest też heraldyka samorządowa. Rządzi się ona tymi samymi prawami. Oczywiście, są pewne zmiany, które komisja heraldyczna dopuszcza i na tej podstawie tworzymy herby samorządowe, opierając się na historii, zjawiskach, legendach.

Czy dużo ludzi poszukując swoich korzeni szuka też swoich rodowych herbów?

W Polsce, jak w całym świecie, były rodziny bardziej znane, zasłużone. Co ciekawe: na Zachodzie (we Francji, Niemczech czy Austrii) było 2 – 3 proc. szlachty, u nas było nawet 25 proc. Mająteczki dzielono i rodziny się pauperyzowały. Zaborcy widząc tę drobną masę szlachecką obligowali ich do udowodnienia szlachectwa. Nie każdy potrafił to zrobić, bo dokumentów nie było, a niektóre rody się porozdzielały migrując na kresy. Znakomita większość ubogiej szlachty się nie wylegitymowała, straciła prerogatywy, choć po odzyskaniu niepodległości mają prawo do używania herbu. Ta szlachta w większości przypadków przeszła do miast tworząc tak zwaną inteligencję: prawników, lekarzy, medyków. Szlachta biedniejsza, spauperyzowana, przechodziła albo do szkolnictwa, albo do jednego z trzech zawodów: kowalstwa, młynarstwa i rzeźnictwa.

Czyżbyśmy dotykali korzeni Pana dyplomu kowalskiego?

Poniekąd. Moi przodkowie w 1801 r. roku stracili swoją ostatnią część wioski i wtedy mój przodek stał się kowalem, a po nim pradiadkowie, dziadkowie. Ja zorientowałem się po szkole podstawowej, kiedy ojciec przywiózł mnie do Warszawy na egzaminy. Kiedy skończyłem, zapytałem – Gdzie ja jestem? – W szkole. – Jakiej? – Będziesz na wydziale kowalstwa artystycznego. Po latach, kiedy byłem żołnierzem zawodowym, wydano rozkaz, że każdy żołnierz musi podnieść wykształcenie o jeden stopień. Szybko pojechałem do Warszawy, zapisałem się w zakładzie doskonalenia zawodowego na kurs mistrzowski i po roku zdałem egzamin na mistrza w kowalstwie. Kiedy zapytano mnie, po co mi to, odpowiedziałem: mój dziad był kowalem, mój pradziad – to dla historii... Z drugiej strony, podczas nalotu okupanta na Uniwersytet Jagielloński, uratowało się tylko kilkunastu profesorów, którzy wylegitymowali się dyplomami krawców, piekarzy, szewców. Nie porównuję się do nich, ale mam wielki szacunek do tej decyzji ojca. W moim gabinecie na honorowym miejscu wisi dyplom mistrzowski w zawodzie kowalstwo. Mogę więc i napisać książkę, i okuć konia.

Teraz to się modnie nazywa „multiskilling”...

To bogactwo mojej życiowej drogi. Leszek z telewizyjnego serialu „Daleko od szosy” powiedział kiedyś: „na palcach sięgałem po to, co inni mieli pod nogami”. U mnie było tak samo. Kiedy mój kolega skończył ogólniak, ja poszedłem do pracy, bo trzeba było zarabiać na utrzymanie. Maturę robiłem mając 32 lata, ale dzięki temu mam dyplom kowalski. To życie zmuszało mnie do zmian. Tak było z fotografią: trzeba było fotografować, dokumentować wyjazdy – dzięki temu zrobiłem dyplom fotografa. Turystyka zaczęła od sportu: kolarstwo, maratony, które robiłem do późnej starości. A to wszystko – turystyka, krajoznawstwo – przyszło przez chęć poznawania. Również regionalistka wzięła się z zainteresowań sportowo-turystycznych.

Czyli żeby stać się ciekawym człowiekiem, trzeba najpierw być człowiekiem ciekawym

wszystkiego?

To prawda. Dzisiaj wychowujemy nasze dzieci trochę źle. Trzeba wziąć dzieci poza miasto, niech obserwują przyrodę, biorą żaby do ręki (ale z szacunkiem, żeby nie udusić), czasem musi mrówka ugryźć, trzeba zjeść śniadanie na polu, przespać się w szałasie, wymoczyć nogi nad rzeką - to jest szkoła życia. Jeśli dziecko tego nie przejdzie, to będzie myślało, że pieniądze biorą się ze ściany, czyli bankomatu, a mleko jest tylko w sklepie.

Czy to nie jest tak, że gdy człowiek dostaje odpowiedzi, zanim jeszcze postawi pytanie, to się w nim tę ciekawość zabija?

Tak. I to jest problem młodego pokolenia. Poza tym łatwość dostępu do wszystkiego, tym bardziej, że rodzice to wszystko finansują. Ja musiałem w wieku 17 lat (bo skończyłem szkołę zawodową jako nieletni) iść do pracy – trzeba było pracować, żeby być mężczyzną. My w dzieciństwie mieliśmy wielką swobodę. Była tylko jedna zasada: matka musiała wiedzieć, gdzie jestem i kiedy wrócę. Musiałem jej pomagać i radzić sobie w życiu. Nikt nie ubolewał nad tym, że się skaleczyłem, że miałem podbite oko. Teraz młodzież ma wiele rzeczy, ma dostęp do Internetu i korzysta z tego wszystkiego nie zdając sobie sprawy, że te dane ktoś musi wprowadzić.

UWAGA

Informacje opublikowane przed 1 stycznia 2021 r. dostępne są na stronie archiwum.mazovia.pl